



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO - KWIECIEŃ 2021



Zofia Baron (PTT O/Bielsko-Biała), 2021

Baranku Wielkanocny coś wybiegł z rozpacz
z paskudnego kąta
z tego co po ludzku się nie udało
prawda, że trzeba stać się bezradnym
by nie logiczne się stało

Baranku Wielkanocny coś wybiegł czysty z popiołu
prawda, że trzeba dostać pałą
by wierzyć znowu

Jan Twardowski - „Baranku Wielkanocny”

Pewno nikt z nas w zeszłym roku, o tej porze, nie spodziewał się, że dzisiaj będziemy tu gdzie jesteśmy, że nadal musimy mierzyć się z pandemią i z nią żyć.

Jest to wyzwanie dla każdego z nas, ale szczególne wyzwanie organizacyjne, bo my nie jesteśmy stworzeni do nic nie robienia, do dystansowania się, do ograniczania kontaktów. Takie jednak mamy realia i musimy się dostosować.

Życzę Koleżankom i Kolegom aby nadchodzące Święta Zmartwychwstania Pańskiego ubogaciły nas:

Wiarą – co pozwala godzić się z odejściem Bliskich, pomnym na przyszłe spotkanie

Nadzieją – co nasze myśli kieruje ku lepszemu jutru, że normalność powróci

Miłością – co nam kochać tu i teraz pomoże, byśmy cieszyli się z dnia codziennego

JOLANTA AUGUSTYŃSKA

Prezes PTT

Z życia Oddziałów

ADAM SORDYL (K/Oświęcim)

Bieszczady zimą

Jak co roku, tak i w tym ruszyliśmy z namiotem w Bieszczady. Tym razem w trochę mniej uczęszczaną ich część, ale za to w „żelaznej” ekipie: Jacek, Witek, Karol i ja.

Na początek kilka słów o tym co zajmowało moją głowę, kiedy za kierownicą samochodu zmierzałem w ukochane góry. Może to dziwne, ale myślałem o rzekach, które przekraczamy, o wododziałach, gdzie przebiegają i generalnie o ukształtowaniu terenu pięknej, południowej części naszego kraju. Karpaty zasilają swoimi rzekami Wisłę, a tym samym dużą część Polski. Wyruszyliśmy z Kotliny Oświęcimskiej, znad Soły i kolejno przekraczaliśmy: Skawę, Skawinkę, Rabę, Dunajec. Tyle na autostradzie. Następnie: Wisłokę, Jasiołkę (kilka razy), Wisłok (również kilka razy), docierając nad Oslawicę w Komańczy. Następnie, już wędrując z plecakiem, przekroczyliśmy: Oslawę, Solinkę, Wetlinkę, docierając do doliny Sanu. W drodze powrotnej jeszcze pokonaliśmy Ropę w okolicach Gorlic.

Porzuciwszy samochód w Komańczy, ruszyliśmy głównym szlakiem beskidzkim w kierunku Jeziorok Duszatyńskich, powstałych wskutek osuwiska w 1907 roku. Następnie na Chryszczatą i przełęcz Żebrak, czyli miejsce naszego pierwszego noclegu pod namiotem. Piękna noc oświetlona księżycem w pełni i dającym nastrój pohukiwaniom sowy. Spanie całkiem dobre, mimo świadomości, potwierdzonej licznymi śladami, że dzikie zwierzęta są u siebie, a liczba ich jest coraz większa. Jak tylko ruszyliśmy z Komańczy, natknęliśmy się na ślady żubrów. Ślady wilków widać na każdym kroku, a niedźwiedzia... każdego dnia. Czasami całkiem świeże wskazujące, że niedźwiadek wędrował tą samą drogą co my kilka godzin, może minut przed nami.

Kolejnego dnia wspinamy się na Jaworne, aby szybko zejść do doliny Jabłonki. Następnie znowu w górę na Łopiennik. Wyjście strome i dające się we znaki, szczególnie, że większość drogi przemierzamy



fot. Adam Sordyl - PTT Oświęcim

Przełęcz Żebrak – pierwsza noc pod namiotem

w raketach śnieżnych. Jeszcze przed szczytem Łopiennika spotykamy samotnego narciarza – jedyną osobę w ciągu pierwszych dwóch dni wędrowania. Z Łopiennika, już bez szlaku, szybko i stromo w dół do Łopienki, gdzie w bazie studenckiej (nieczynnej) spędzamy kolejną noc.

Cały następny dzień to wędrowanie bez szlaku wzdłuż rzek. Na początek wzdłuż Łopienki, włącznie z jej przekraczaniem, a następnie wzdłuż Wetlinki i na koniec dnia doliną Sanu, choć nieco dalej od samej rzeki. O świcie wizyta w Cerkwi w Łopience. Obecnie to kościół katolicki, ale, co budzi moje zaskoczenie, jest o tej porze otwarty, więc cieszę się i mogę wstąpić na krótką poranną modlitwę. Dzień, tak jak i poprzednie, jest ciepły, a nawet bardzo ciepły jak na koniec lutego (+10°C). Pewnie dlatego, a i po namowie Witka korzystamy z ciepłych promieni słońca i „kąpiemy” się w śniegu. Na drodze leśnej wzdłuż Wetlinki, prowadzącej do przełęczy Szczycisko spotykamy świeżutkie ślady niedźwiedzia i pijemy wodę z tego samego źródła, co on. Ślady wyglądają na pozostawione dzisiejszego poranka. Ze świadomością bliskości dużych drapieżników idziemy dalej, spotykając sporadycznie sarny i jelenie. Dzisiaj wędrujemy głównie drogami, więc bez wielkich przewyższeń, ale za to pokonujemy prawie 30 km. Kończymy nietypowo, bo w hotelu w Zatwarnicy, ale takie to jest właśnie wędrowanie bez jednoznacznego planu na każdy dzień. Docieramy już po

zmroku, wędrując leśną drogą ponad przysiółkiem Krywe i przez Hulskie.

Kolejnego, już czwartego dnia ciężko jest się zebrać. Ciepło, śniadanie takie, że starcza na cały dzień drogi. Koniec końców ruszamy. Dzień odmienny od poprzednich. Pochmurno, mgliście, pada lekki deszcz. Bieszczady pokazują inne oblicze. Jeszcze bardziej tajemnicze, spokojne, czasami niepokojące. Wędrujemy znowu bez szlaku ścieżką przyrodniczą na Dwernik Kamień. Chciałem bardzo tu być, szczególnie po naszym bieszczadzkiem rajdzie Klimczyka, kiedy to nasze dziewczyny wróciły zachwycone tym miejscem. Wybieramy nieco trudniejszą drogę na szczyt, ale dzięki temu jest satysfakcja z dodatkowych trudności, których w tym roku trochę brakuje. Osobiście uważam, że to miejsce ciekawe, ale chciałbym tu jeszcze wrócić, kiedy będzie widać dalej, niż na 20 metrów. Schodzimy do Nasicznego, a następnie przez Caryńskie docieramy na Przysłop Caryński. Po drodze znowu dość świeże ślady niedźwiedzia. Kolejna noc znowu w komfortowych warunkach dobrze nam znanego schroniska Koliba. Z małymi wyjątkami: Witek poczuł niedosyt spania w namiocie i postanowił również tę noc przespać na polu przy schronisku.

Kolejny, już ostatni dzień wita nas wietrzną, ale i częściowo słoneczną pogodą. To dobrze, bo dzisiaj przed nami tylko Połonina Caryńska, gdzie widoki są dużą atrakcją. Na szczycie połoniny próbujemy latać jak jaskółki na wietrze, ale to może już efekt dłuższego odosobnienia. Schodzimy do Berehów Górnych, skąd, jak co roku z tym samym kierowcą, wracamy do Komańczy.

Tak minęło nam prawie pięć dni w małej męskiej grupie. Prawie nikt nie narzekał na jakiegokolwiek dolegliwości, ale tak to już jest, że facetom raczej trudno jest się przyznać, że coś nie działa całkiem dobrze albo coś trochę boli.

Wróciliśmy szczęśliwi do naszych codziennych obowiązków. Taki odpoczynek, szczególnie w obecnych czasach pandemii jest bardzo potrzebny.

Wyjazd odbył się w dniach 24-28 lutego 2021 r. ■



fot. Jacek Dindorf - PTT Oświęcim

Most na Oslawie – granica Karpat Wschodnich i Zachodnich

SZYMON BARON (O/Bielsko-Biała)

Antonina Sebesta laureatką konkursu poetyckiego

Miło mi poinformować, że Antonina Sebesta z Oddziału PTT w Krakowie została laureatką konkursu jednego wiersza o temacie przewodnim „Ona”, organizowanego przez portal internetowy poetycki.pl.

W opisie konkursu możemy przeczytać: „Korzystając z faktu, że rozwiązanie drugiego NURTU przypada na 7 marca – czyli na dzień przed świętem kobiet – wybraliśmy temat, który stawia JĄ – kobietę w centrum uwagi. Wiersze mogą, choć nie muszą, brać za swój tytuł tematu konkursu, ale powinny nawiązywać do niego w dostrzegalny sposób. Hasło drugiej edycji NURTU: ONA, można dowolnie metaforyzować i interpretować.”

Antonina Sebesta dostała doceniona przez publiczność za wiersz pt. "Bo ona". Gratulujemy!

Bo ona
bo ona
ma ten cholerny zwyczaj gaszenia światła
jak tylko coś zaczyna się ekstra
z tupetem kuny domowej
wciska ci ontologiczne gdybania
działa totalnie covidowo
rozwała na puzzle
z których sam siebie nie złożysz
bo jesteś wytopiony
jak śnieg odwilżowy
jej imię DEPRESJA

GRAŻYNA JEDLIKOWSKA (O/Ostrowiec Św.)

Powitanie wiosny

Mimo trwających wciąż ograniczeń działalności Oddziału PTT w Ostrowcu staramy się jednak zachować choć trochę normalności. Co prawda, raczej nie ma chętnych na wyjazdy, ale po okolicznych lasach można dowolnie chodzić. A tęsknota za spotkaniem się jest ogromna, czego dowodem jest impreza pod nazwą „Powitanie wiosny”, którą od wielu lat mieliśmy w okolicach Solca nad Wisłą.

W tym roku postanowiliśmy utopić Marzannę w Kamiennej, która jest dopływem Wisły. Na spotkanie przyszło dwadzieścia osób, które chciały ze sobą spędzić czas, nie bacząc na ograniczenia i restrykcje. Imprezę tradycyjnie przygotowała nasza koleżanka Grażyna Kowalczyk, która tym razem poprowadziła całą grupę wałami wzdłuż zakoli Kamiennej. Pogoda była dosyć mroźna, ale to nikomu nie przeszkadzało. Poza Bodzechowem, na wysokości rezerwatu przyrody „Lisiny Bodzechowskie” postanowiliśmy ostatecznie pożegnać zimę, która w tym roku trochę jednak



foto. Grażyna Jedlikowska - PTT Ostrowiec Św.

dała się nam we znaki.

W topieniu Marzanny uczestniczył najmłodszy członek naszego Oddziału, Konrad Kandyba. Gdy już dokonaliśmy tradycyjnego obrzędu i zima popłynęła z nurtem rzeki, wręczyliśmy legitymacje PTT Konradowi i Jego rodzicom.

Później przyszedł czas na tradycyjne jajeczko i mnóstwo innych łakoci, które

skonsumowaliśmy przy ognisku. Wszystkiemu towarzyszyła wspaniała atmosfera. Snuliśmy też plany na kolejne wypad, wśród których marzenia, by pojechać dalej w nasze ukochane Tatry czy Beskidy były bardzo częste. Mamy nadzieję, że z wiosną wszystko wróci do normy.

Do zobaczenia na górskich szlakach!

GRAŻYNA JEDLIKOWSKA (O/Ostrowiec Św.)

„Babski rajd” z okazji Dnia Kobiet

Od kilku lat w naszym Oddziale Dzień Kobiet świętują dziewczyny tylko we własnym gronie. Zazwyczaj to wyjazdy górskie – w Gorce albo w pobliskie Góry Świętokrzyskie.

Zawsze jest miło i przyjemnie, a nasi koleździ z Oddziału też już przywykli i chyba

już nie mają pretensji, że ich nie zabieramy. W tym roku też postanowiłyśmy świętować we własnym gronie.

Ze względu na ograniczenia związane z sytuacją pandemii w całym kraju postanowiłyśmy powłóczyć się po okolicznych

lasach. Udało się nam tak poprowadzić grupę, by nie iść wzdłuż dróg i nie być widocznym dla innych. Trzeba przyznać, że mogło się w głowie zakręcić od tych ciągłych zwrotów w prawo, lewo, skos itd.

A po niemal 10 km takiej wędrowki czekała na wszystkich niespodzianka – suto zastawiony stół z pękiem czerwonych tulipanów i płonące ognisko! A wszystko z dala od dróg i ciekawskich spojrzeń. Oczywiście, skoro ognisko, to także pieczenie kiełbasek, które wybornie smakowały.

Przy tej okazji naszej koleżance, która użyczyła swojego ogródka, na tę imprezę, wręczono odznakę Głównego Szlaku Świętokrzyskiego.

Mamy nadzieję, że kolejne nasze święto będzie znów w górach!

foto. Teresa Karbowiczek - PTT Ostrowiec Św.



Górnolotni 2021 – spotkania ludzi gór w Tarnowie

Od ponad 10 lat w tarnowskim Centrum Sztuki Mościce organizowany jest festiwal górski, będący dla publiczności okazją do spotkań z najwybitniejszymi na świecie himalaistami, alpinistami, wspinaczami, podróżnikami, skialpinistami, biegaczami górskimi, a także pisarzami zajmującymi się tematyką górską.

Do tej pory spotkania odbywały się w cyklu trzydniowym (piątek-niedziela), w jeden ze styczniowych weekendów. Towarzyszyły im zazwyczaj dodatkowe imprezy: warsztaty, kiermasz odzieży technicznej, sprzedaż książek i czasopism poświęconych górcom.

W tym roku, z uwagi na sytuację epidemiczną, festiwal odbył się w drugi weekend marca, w ciągu dwóch dni, z zachowaniem obowiązujących procedur. Ograniczono też (o połowę) liczbę widzów i po raz pierwszy umożliwiono chętnym transmisję przez Internet.

Wśród sobotnich prelegentów największą, bez wątpienia, gwiazdą był Ryszard Pawłowski – wybitny polski himalaista i przewodnik wysokogórski, jedyny Polak, który stanął pięć razy na wierzchołku Czomolungmy, czyli na Dachy Świata. W ciągu 50 lat swojej górskiej kariery pan Ryszard wspinał się na wszystkich kontynentach, a z powodu swojej niezwykle intensywnej wyprawowej otrzymał w środowisku ksywkę „Napał”.

Od kilkudziesięciu lat Ryszard Pawłowski organizuje też komercyjne wyjazdy w góry świata, wyprowadzając kolejne grupy uczestników na znane szczyty. W ten sposób m.in. 37 razy stanął na himalajskim Island Peaku, 34 razy zdobył leżącą w Andach Aconcaguę, a 28 razy wszedł na Ama Dablam. Rozmowę z doskonałym himalaistą poprowadził Piotr Drożdż – redaktor naczelny magazynu „Góry”.

Ponadto w sobotę, uczestnicy festiwalu mieli również okazję „przejsć” przez skutą mrozem i zasypaną śniegiem Laponię, wędrując po niej wraz z Klaudią Ledwiszczyk i Krzysztofem Lewickim. To dwójka podróżników od lat przemierzająca bezkresy Arktyki, podglądająca życie tubylców i ucząca się od nich sposobów na przetrwanie w ekstremalnych warunkach.

Tego samego popołudnia swoje osiągnięcia w Dolomitach przedstawili też dwaj wspinacze młodego pokolenia: Jacek Matuszek i Paweł Dudek. Pierwszy z nich wpadł na pomysł trawersu, tego znanego włoskiego pasma z wykorzystaniem swoich umiejętności wspinaczkowych i paratniarskich. Drugi, opowiadał o solowych przejściach wielkich ścian Dolomitów, z których najważniejszym było przejście drogi Pan Aroma na Cima Ovest di Lavaredo, zaliczane do największych osiągnięć wspinaczkowych dokonanych w ostatnich latach.

Sobotni wieczór zakończyła projekcja filmu „The Ghosts Above” o wyprawie zorganizowanej przez National Geographic, w celu odnalezienia na stokach Everestu ciała Andrew Irvine’a, który być może wraz z George Mallorym stanął na wierzchołku Matki Gór w 1924 roku.

Niedzielną część festiwalu rozpoczęło spotkanie z Bogusławem Magrelem – prezesem Polskiego Klubu Alpejskiego. Opowiedział on nieco o działalności i wyprawach organizowanych przez PKA, a także o zorganizowanej, z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, ekspedycji do pakistańskiej Hunzy oraz zdobyciu dwóch dziewiczych pięciotysięcznych szczytów w Karakorum.

Kolejna bez mała dwie godziny wypełniła barwna, wypełniona setkami anegdot i ubogacona zdjęciami opowieść Bogumiła Słamy, poświęcona tatrzańskiemu Betlejemce – kuźni wszystkich polskich taterników drugiej połowy XX wieku.

Pan Bogumił będący himalaistą, alpinistą i taternikiem, przewodnikiem wysokogórskim, instruktorem PZA, był również przez dwadzieścia lat kierownikiem Centralnego Ośrodka Szkolenia PZA, czyli właśnie Betlejemki. Gościł w Tarnowie nie pierwszy raz, więc jako doskonały gawędziarz oraz chodząca kronika polskiego taternictwa i alpinizmu ma w naszym mieście sporą rzeszę zagorzałych fanów. Wszyscy z niecierpliwością oczekują już kolejnego spotkania.

Kolejnego festiwalowego gościa również nie trzeba było przedstawiać zgromadzonej publiczności. Janusz Majer to nie tylko znany himalaista, wspinacz, podróż-

nik, prezes Klubu Wysokogórskiego w Katowicach, ale również biznesmen i współtwórca (wraz z Arturem Hajzerem) marek outdoorowych Alpinus i HiMountain.

Do Tarnowa przybył z Dariuszem Jarniem – reporterem i dziennikarzem, którego ostatnia książka nosi tytuł „Janusz Majer. Góry w cieniu życia”. Sympatyczne spotkanie było zarazem promocją wspomnianego wyżej wydawnictwa.

Janusz Majer podzielił się z widzami wspomnieniami z wypraw i podróży, a także działalności biznesowej rozpoczętej na dobre po przemianach ustrojowych w Polsce. Osobiście nie znam chyba nikogo spośród miłośników górskich wędrówek czy aktywnego stylu życia, kto nigdy nie korzystał z odzieży lub sprzętu produkowanego pod markami założonymi przez duet Hajzer – Majer.

Zwieńczeniem niedzielnej wieczoru było spotkanie z gwiazdą światowego himalaizmu Denitem Urubko. Ten były żołnierz armii Kazachstanu, od sześciu lat mający polskie obywatelstwo, uważany jest za najlepszego obecnie himalaistę świata.

Spotkanie rozpoczęło się krótkim filmikiem ze zdobycia przez Denisa wraz z dwójką przyjaciół Góry Piłsudskiego (Bronisława – starszego brata Józefa) leżącej na Sachalinie. To niewysoka (bardziej podobna do Bieszczadów) góra, niezbyt łatwo jednak dostępna z uwagi na brak jakichkolwiek ścieżek czy szlaków.

W tym egzotycznym dla wielu regionie Denis spędził młodość. Potem było już bliżej Polski (odległościowo), ale znacznie wyżej. Najpierw film z pamiętnej wyprawy ratunkowej (wraz z Adamem Bieleckim) po Elisabeth Revol na Nanga Parbat w 2018 roku. Potem polska Zimowa Wyprawa Narodowa na K2 i nieudana próba samotnego wejścia na wierzchołek. Na koniec ostatnie osiągnięcie – solowa nowa droga na Gasherbrum II, bez tlenu i w stylu alpejskim. Nazwana przez wspinacza „Honey Moon” (miesiąc miodowy).

Ponad sześć godzin wypełnionych setkami zdjęć i krótkimi filmikami minęło niepostrzeżenie. Na zakończenie czekała na chętnych jeszcze projekcja filmu „Spectre Expedition”. Opowiada on o ekspedycji trzech brytyjskich wspinaczy na Spectre – najodleglejszy szczyt na Ziemi, leżący na Antarktydzie. Aby dotrzeć do niego musieli pokonać ponad 1000 mil ciągnąc 200 kilogramowe sanki i licząc na wiatr, który pozwoli im wykorzystać latawce (jak w kitesurfingu). A całość zajęła niespełna dwa miesiące.

A gdyby ktoś miał jeszcze niedosyt gór, to w foyer CSM umieszczono dwie wystawy fotograficzne: „Ryszard Pawłowski – 50 lat w górach” i „Denis Urubko – Moje góry”. W czasie przerwy też otaczały więc wszystkich górskie klimaty. ■

fot. Robert Siliński - PTT Tarnów



Pamiątkowe zdjęcie z Denitem Urubko

JOLANTA AUGUSTYŃSKA (O/Nowy Sącz)

Ostatnie pożegnania w Oddziale „Beskid”

W Oddziale „Beskid” w Nowym Sączu w ostatnim czasie pożegnaliśmy dwie nasze Koleżanki, dwie kobiety, które pewien okres swego życia związały i poświęciły czas, energię, zapał, dla społeczności Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Obydwie zmagaly się z ciężką chorobą i odeszły o wiele za wcześnie.

12 lutego br. zmarła **Danuta Matras**, absolwentka pierwszego kursu przewodników beskidzkich i terenowych organizowanego przez nasz Oddział, który zakończył się w 1998 r.

Danuta Matras była nowosądeczanką. Po ukończeniu studiów i krótkiej pracy w przedszkolu, rozpoczęła karierę zawodową w Sąddeckiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Szujskiego i tam do końca pracowała.

Koledzy i przyjaciele wspominają ją jako osobę niezwykle otwartą, ciepłą i życzliwą. Dane Jej było przeżyć 51 lat. Pogrzeb odbył się 16 lutego 2021 r. w Starym Sączu w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Elżbiety.

21 marca odeszła, przeżywszy zaledwie 45 lat, pochodząca z Żywiecczyny, **Aldona Mika**, która część swego życia związała z Nowym Sączem i naszym oddziałem. Zawodowo była pracownikiem

Szkoły Aspirantów Państwowej Straży Pożarnej w Krakowie.

Aldona była szefową Sąddeckiej Grupy Rowerowej PTT, była bardzo zaangażowana w jej działanie i rozwój. Prowadziła wiele wycieczek po najbliższej okolicy, jak i dłuższych, kilkudniowych, szczególnie w swoje rodzinne strony. Z powodzeniem również uprawiała biegi, startując w wielu zawodach.

Aldona mimo, iż posturą zdawała się być krucha i delikatna, była niezwykle silna,



Danuta Matras

zaradna i zawsze pomocna. Życzliwa, uśmiechnięta, mądra i można powiedzieć ponadprzeciętnie aktywna, czerpiąca z życia pełnymi garściami.

Została pochowana na cmentarzu w swojej rodzinnej miejscowości, w Soli-Kiczorze, 25 marca 2021 r., po mszy świętej odprawionej w kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej.

Niech odpoczywają w pokoju wiecznym.



Aldona Mika

TOMASZ KWIATKOWSKI (O/Radom)

XIX Zimowa Wyrypa „Przez Zaspy i Zamiecie”

W lutym 2021 r. po raz dziewiętnasty odbyła się Zimowa Wyrypa „Przez zaspy i zamie-

cie”. Jest to cykliczny zimowy rajd Oddziału PTT im. Tytusa Chałubińskiego w Radomiu.

Tegoroczna wyrypa była imprezą dość kameralną i dostosowaną do wymogów sanitarnych. Do schroniska na Przehybie w Beskidzie Sąddeckim docieraliśmy indywidualnie z Radomia, Warszawy, Środy Wielkopolskiej i Szczecina. Wspaniała, zimowa aura, przyjemne trasy do przejścia, a przede wszystkim grupa przyjaciół, którzy od dłuższego czasu ze sobą nie chodzili po górach. Dodatkowym bonusem za lokalizację były odwiedziny prezes PTT Joli Augustyńskiej, która w obstawie dwóch przystojnych facetów z oddziału PTT w Nowym Sączu przybiegła do nas na wieczorną herbatę.

Wędrowaliśmy więc górkami szlakami robiąc co jakiś czas przystanki „dla zdrowotności”, podziwialiśmy Tatry z Łomnicą na pierwszym planie i cieszyliśmy się jak dzieci chwilą normalności w nienormalnych czasach. Nawet posiłki jedzone w pokojach z plastikowych pojemników nie psuły nam nastroju. Żał było schodzić na dół...

Przed nami jubileuszowa, dwudziesta Wyrypa. Trzymamy kciuki i czekamy.

Uczestnicy XIX Zimowej Wyrypy „Przez Zaspy i Zamiecie”



fot. Wojciech Jabłoński - PTT Radom

Zimowe Rysy i Niżne Rysy

Nie będzie żadnym odkryciem, jeśli napiszę, że dobra pogoda w górach to przynajmniej połowa sukcesu! Wiadomo, nie zawsze możemy iść w góry, i nie zawsze wtedy, gdy możemy, pogoda nam sprzyja. Jednak, gdy te dwie zmienne się nałożą to tylko ręce zacierać, pakować plecak i ruszać w góry!

28 lutego 2021 r. postanowiliśmy wraz z kolegą zdobyć w warunkach zimowych najwyższy szczyt Polski, Rysy. W sytuacji, gdy Słowacja jest dla nas zamknięta, nic wyższego nie mieliśmy do dyspozycji, a wiadomo – takich warunków, jakie się zapowiadały, szkoda byłoby nie wykorzystać.

Wyruszamy z Nowego Sącza o czwartej, aby móc o 6 rano wystartować z parkingu w Palenicy Białczańskiej. Zakładamy trasę zgodnie z przewodnikowymi wskazaniem: Palenica Białczańska – Morskie Oko – Czarny Staw – Bula pod Rysami – Rysy. Szacowany czas przejścia 24,9 km szlaku z przewyższeniem 1929 m to prawie 12 godzin.

Mróz nam towarzyszy, ale nie jest bardzo dotkliwy, gdyż idąc szybkim marszem rozgrzewamy się. Wiadomo – droga do Morskiego Oka to udręka! 9 km asfaltem jakoś trzeba pokonać. I tu postanowiliśmy innowacyjnie podejść do trasy zakładając terenowe buty biegowe, które sprawdziły się na medal. Około 7.45 dochodzimy do schroniska. Tutaj mała przerwa na posiłek, ciepłą herbatę i zmianę butów. Morskie Oko, jak przystało na zimowe warunki, pozwala nam przespacerować się po zamarznętej tafli, co znacznie skraca czas jego przejścia. Przed podejściem do Czarnego Stawu zakładamy raki i docieramy do niego o 8:30. Na trasie nie ma wielkiego tłoku, tym niemniej cały czas ktoś towarzyszy nam w wędrowce, a nawet pozwala się wyminąć... Ruszamy w górę. Ścieżka jest raczej wydeptana, ale śnieg



Na polskim wierzchołku Rysów (2499 m n.p.m.)

jest sypki, słabo związany, więc często robiąc krok do przodu, jednocześnie nieco się cofamy. Dochodzimy do Buli pod Rysami, a potem powoli zleb się zwęża i kontynuujemy podejście słynna Rysą, w której tak czekam, jak i kask są konieczne. U wylotu Rysy wchodzimy na krótki odcinek graniowy, na którym gdzieniegdzie pod śniegiem są widoczne łańcuchy i po kilku chwilach stajemy na szczycie! Teraz można rozkoszować się widokami, pstrykać fotki i poczuć szczęście oraz satysfakcję. Na szczycie jesteśmy o 10:40 (dzięki temu, że po drodze pstryka się dużo zdjęć, a zdjęcia opatrzone są godziną wykonania, mogą tak precyzyjnie podawać czas – bez tego zupełnie bym nie pamiętała).

Można byłoby na tym naszym dachu Polski siedzieć, dumać i zachwycać się, jeszcze długo... ale temperatura i wiatr na takie fanaberie nie pozwalają. Jeszcze tylko szybka wizyta na drugim, głównym wierzchołku i trzeba schodzić w dół. O 11:08 wyruszamy, a o 12 jesteśmy na Buli, na którą

zobczamy z trasy na chwil kilka, aby w słońcu ogrzać się, posilić i popodziwiać piękne widoki. Do Morskiego Oka docieramy o 13:30. Znowu chwila na zmianę obuwia i herbatę. Na Palenicę Białczańską wracamy o 15.

Tydzień później, 7 marca, znowu prognozy były bardzo obiecujące! Jaki kierunek wybrać? Długo się nie zastanawialiśmy i padło na Niżne Rysy, trzeci najwyższy szczyt naszego kraju – mierzący 2430 m n.p.m. Wycieczka odbyła się ponownie w dwuosobowym składzie.

Cała trasa była bardzo podobna do poprzedniej – start, dojazd, dojście i trasa początkowa identyczne jak na Rysy. Dopiero nad Bulą nad Rysami należy odbić ze szlaku na Rysy i skierować się w lewą stronę na przełęczkę między głównym a południowym wierzchołkiem Niżnych Rysów. Ścieżka z Buli na Niżne Rysy (WHP 1041) oznaczona jest w skali taternickiej jako „0”. Przed wyjściem należy wpisać się do książki wyjść taternickich znajdującej się na pierwszym piętrze schroniska nad Morskim Okiem lub zgłosić wyjście drogą elektroniczną.

Obydwie wycieczki udało się zrealizować w doskonałych warunkach pogodowych – było słonecznie, choć mroźnie, z niewielkim wiatrem, mocniejszym tylko na grani. Dzięki temu nie napotkaliśmy dodatkowych trudności, chociażby orientacyjnych. Wyposażenie obowiązkowe oprócz kasku to raki, czekan i co najważniejsze, pewne doświadczenie w posługiwaniu się nimi. Musimy zdawać sobie sprawę, że na tak dużej stromiznie, jaka jest w Rysie, czy na podejściu na Niżne Rysy każdy jeden nieprawidłowy krok, zahaczenie czy potknięcie, może spowodować nieszczęście na nas i osoby, które znajdują się poniżej nas. Należy być czujnym i ostrożnym. Tak naprawdę, ze zdobycia góry można się cieszyć w pełni można dopiero po zejściu z niej!



Na Niżnych Rysach (2430 m n.p.m.)

W cieniu Pilatusa

To pierwszy raz, kiedy stojąc na balkonie nie wiem od czego zacząć. Na horyzoncie, niczym fale na wzburzonym morzu, liczne plany górskich szczytów ciągnące się długimi łańcuchami. Najogólniej Alpy Zachodnie. Od najdalej: Alpy Pienińskie, Alpy Lepotyńskie, Alpy Berneńskie, Alpy Glarneńskie i w końcu te najbliższe Schweizer Voralpen, czyli Prealpy Szwajcarskie. Na południe, na pierwszym planie w całej swej okazałości prezentuje się charakterystyczna sylwetka masywu „góry przeklętej” – Pilatus Kulm (2137 m n.p.m.). Codziennie wita mnie i żegna, raz rozświetlona, raz rozkapryszona pod ciężkim „dziodem” chmur, a raz zupełnie niewidoczna pomimo niewielkiej odległości (ok. 12 km). Zdarza się i tak, że pokazuje wszystkie te „strony” jednego dnia. Każdy z nas wie, jak nieprzewidywalną pogodę możemy spotkać w górach. Mimo wszystko nieprzewidywalność pogody zaskoczyła mnie tutaj. Przytłoczona, ale i zachwycona ogromem gór zaczęłam od Pilatusa.

Pierwsza okazję do ruszenia na górskie szlaki miałam już w listopadzie 2020 r., gdzieś w przerwie między atakami kolejnych fal pandemii. Wybór oczywiście padł na Pilatus, górujący nad czwartym co do wielkości w Szwajcarii – Jeziorem Czterech Kantonów. Pilatus to rozległy masyw górski będący częścią Prealp Szwajcarskich (SOIUSA) lub Alp Urneńskich (podgrupa Alp Berneńskich wg starszego podziału – Partizione delle Alpi). Jego najwyższy szczyt to wspomniany wyżej Pilatus Kulm (2137 m n.p.m.), który jest bardzo popularnym miejscem turystycznych wycieczek ze względu na dostępność. Góra zdobyta została dopiero w 1555 r. przez szwajcarskiego przyrodnika i lingwistę Konrada Gesnera, któremu jako pierwszemu udało się zdobyć specjalne pozwolenie od burmistrza Lucerny pozwalające na wyruszenie na szczyt „zakazanej góry”. Już sama nazwa nasuwa pewne skojarzenia. Według średniowiecznej legendy na tej właśnie, dzikiej i niedostępnej górze, porzucono zwłoki Poncjusza Piłata, a jego zbłąkana dusza objawiała się w Wielki Piątek zapowiadając śmierć. Stara legenda nie miała jednak szans w konfrontacji z widokami, jakie czekają na każdym na szczycie.

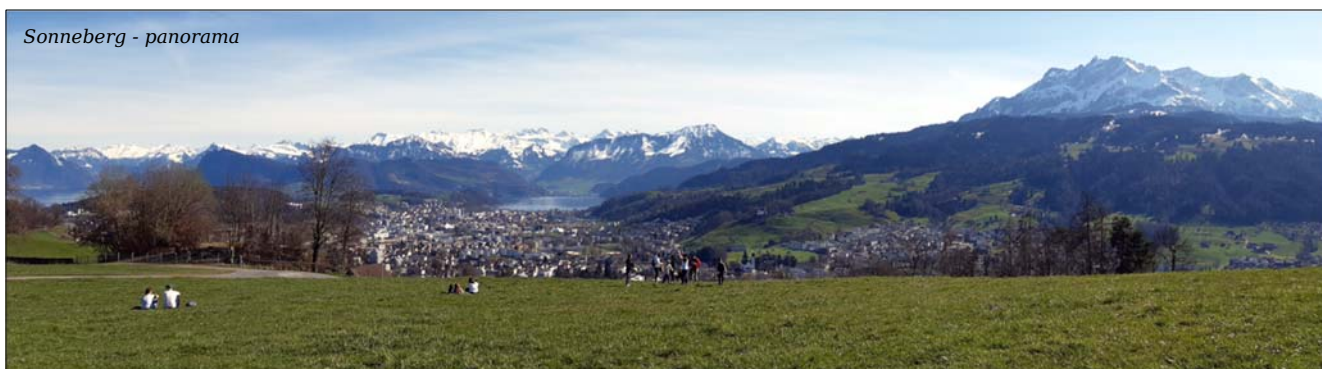
Na Pilatus Kulm możemy się dostać kolejką gondolową z Kriens przez dwie stacje przesiadkowe Krienseregg i Fräkmuntegg lub zabytkową, wąskotorową kolejką zębatą z miejscowości Alpnachstad. Ta druga opcja, tzw. Pilatusbahn, zapewnia niezapomniane wrażenia. Oddana do użytku w 1889 r. jest najbardziej stromą kolejką zębatą na świecie o nachyleniu 48%. Jako, że nie mogliśmy sobie odpuścić górskiego przejścia, zdecydowaliśmy się na przejazd do drugiej stacji kolejki gondolowej – Fräkmuntegg (ok. 1400 m n.p.m.), skąd ruszyliśmy jednym z czerwonych szlaków od wschodu na przełęcz pod szczytem Klimsenhorn (1907 m n.p.m.). Znajduje się tam XIX-wieczna neogotycka kaplica, pozostałość po dużym obiekcie hotelowym. Dalej szlak wiódł stromym zygakiem ku skalnej ścianie, w której wydrążono widokowy tunel. Przejściem tym dotarliśmy do górnej stacji kolejki. Dalej czekało nas jeszcze krótkie podejście na szeroki szczyt, już bez trudności. Na miejscu czekała na nas przepiękna, rozległa panorama Alp. Do Alpnachstad zjechaliśmy ostatnim możliwym kursem w zabytkowym wagonie XIX-wiecznej kolejki zębatej.

Kolejne okazje do górskich wędrówek w masywie Pilatusa mieliśmy w marcu, wykorzystując kilka dni dobrej pogody. Biorąc pod uwagę niekorzystne warunki do turystyki wysokogórskiej, zrezygnowaliśmy z wypadów na sam Pilatus, skupiając się raczej na atrakcjach i szlakach, które ominęliśmy ostatnio. Podnóża masywu są dosłownie usiane turystycznymi ścieżkami, które krzyżują się, łączą i, co najważniejsze, są dobrze oznakowane. Warto mieć jednak ze sobą mapę, żeby móc sprawdzić inne warianty tras. Na szlakach możemy spotkać turystów w praktycznie każdym wieku. Po drodze przygotowane są miejsca do odpoczynku i atrakcje dla dzieci w postaci placów zabaw – największy z nich znajduje się przy pierwszej stacji kolejki (Krienseregg). Jedną z atrakcji na szlaku jest Zamek Schauensee. Ta XIII-wieczna forteca została wzniesiona na bezleśnym wzgórzu nad Kriens, skąd rozpościera się bajeczna panorama. Na południowych zboczach (nieco łagodniejszych i porośnie-

tych lasem) jest sporo łąk wypasowych i polan, a także gospodarstw, z których rozpościera się panorama na Jezioro Czterech Kantonów i okoliczne góry. Dodatkowo, dzięki wysokiemu osadnictwu, do dyspozycji jest również kilka dróg dojazdowych, z których część jest przeznaczona na trasy rowerowe. Szlaki do Fräkmuntegg w zimowych warunkach były przedeptane. Dużą popularnością cieszą się tu przejścia skitourowe i w raketach śnieżnych, szczególnie w mniej uczęszczanych miejscach. W wyższe partie zapuszcza się natomiast już zdecydowanie mniej osób, szczególnie zimą.

Dobrym punktem widokowym i opcją na niedzielny spacer są niskie wzniesienia przed Pilatusem, zamykające Kriens w wąskiej dolinie: Blatterberg i Sonneberg. Zdecydowanie większym zainteresowaniem cieszy się Sonnenberg, na który możemy wyjść z Lucerny obok bajkowego XIX-wiecznego Hotelu Gütsch, który mieści się w murach dawnego zamku. Dalej rozgałęziają się liczne ścieżki w pięknym i zdrowym lesie, które doprowadzić nas mogą, m.in. do stawu Wladweiher lub w pobliże Hotelu Sonneberg pod szczytem. Można tam odpocząć na rozległej polanie i podejść do zabytkowej kolejki zębatej dojeżdżającej tu z Kriens. My zdecydowaliśmy się na dłuższe przejście grzbietem i powrót południowym zboczem obok stawu. Szlak poprowadzony jest szeroką i widokową alejką, niemniej popularną niż samo Sonneberg. Również tam można wybrać wiele wariantów na przejście, chociażby po to, aby uniknąć większych zbiorowisk ludzi. Do Hotelu Gütsch również dociera kolejka zębata, czyniąc to miejsce jeszcze bardziej popularnym i rodzinnym. Na Sonneberg można ponadto wyjechać samochodem.

Na ogromną popularność górskich wędrówek w okolicach Lucerny składa się kilka rzeczy. Po pierwsze dobrze zorganizowana komunikacja publiczna, po drugie liczba i dostępność kolejek górskich, a po trzecie jakość przygotowania górskich ścieżek. Dzięki temu nawet górskie szlaki są dostępne dla rodzin z wózkami, dla starszych osób, a nawet dla osób niepełnosprawnych. Warto brać z tego przykład! ■



Sonneberg - panorama

Człowiek w drodze

Z Tomaszem Markiem Badurem, członkiem Oddziału PTT w Tarnowie, rozmawia **KINGA BURAS** (O/Tarnów)

Należysz do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w tarnowskim Oddziale, a mieszkasz na Śląsku. Bardzo się cieszymy, że jesteś w naszym gronie. Jak zaczęła się Twoja przygoda z górami, aż do wstąpienia w szeregi PTT?

Tak to prawda, mieszkam na Śląsku, jednak jak już to wiele razy podkreślałem, bardziej identyfikuje się z Małopolską i Podkarpaciami niż ze Śląskiem. Jakby patrzeć tak w przeszłość i chcąc ustalić jak i kiedy zaczęła się moja przygoda z górami to chyba musiałbym zacząć od chwili wyjazdów na coroczne lub prawie coroczne wyjazdy na wczasy zakładowe z moimi rodzicami.

Co prawda pobyt w Kościelisku w roku 1984 pamiętam jak za mgłą, a jedyną rzeczą która mnie w tym utwierdza, że tam byłem jest kilka czarno-białych fotografii, mając wtedy skończone 3 lata stałem na szczycie Kasprowego Wierchu i w dodatku było, jak na czerwiec, jeszcze sporo śniegu. Co prawda nie zdobyłem go o własnych siłach, ale byłem tam.

Kolejne lata, w zasadzie pod rząd, jeździliśmy do Muszyny Złockiem, cóż to wtedy była za „dziura”, ale mnie się tam bardzo podobało. Często chodziliśmy nad pobliską rzekę Szczawnik opalać się, kąpać i puszczać statki zrobione z kory drzew przez mojego tatę. Po drodze spotykałem pierwsze dzikie zwierzęta, zaskrońce oraz żmije zygzakowate, które zwinęte niczym tarcza łucznicza w kłębuszek, wygrzewały się w słońcu. Tam właśnie po stokach Sądeckich chodziłem na moje pierwsze małe wycieczki górskie.

Co prawda zawsze z gór jak wróciłem musiałem je odchorować, zmiana powietrza po powrocie była tak drastyczna, że na 100% miałem anginę ropną. Już od tamtego czasu zawsze mówiłem mojemu tacie, że chciałbym zamieszkać górami na stałe, argumentując, że przynajmniej nie będę po powrocie tego odchorowywać, bo nie

będziemy musieli wracać do domu.

Tak więc dla mnie Zakopane, Kościelisko, Muszyna czy Krynica Zdrój były jak drugi dom. Moi rodzice tego tak już nie odbierali jak ja, moja mama do dziś narzeka na Krynice Zdrój, nie podobało jej się tam wcale i nadal nie podoba. Dlaczego więc jeździli do miejsc gdzie się im nie podobało? Nie było to wtedy takie proste jak teraz, można było jechać tam, gdzie wysyłał zakład pracy na tzw. dofinansowane wczasy zakładowe.

Ja za to jak wracam tam, a w brew pozorom od czasów dzieciństwa byłem tam sporo razy, to zawsze staram się zajrzeć w te moje miejsca z dzieciństwa, a Krynice też bardzo uwielbiam i wody zdrojowej nigdy sobie nie odmówię.

Potem była podstawówka, a w niej koło PTTK, prowadzone przez Panią Jadwigę nauczycielkę fizyki, wtedy pierwszy raz pojechałem na rajd górski. Teraz z Jadzią jesteśmy na Ty, dzięki niej, pomału wchodziłem w górski świat i do dziś dnia jesteśmy przyjaciółmi. Potem była szkoła średnia, zacząłem już sam dużo jeździć. Jeździłem też ze szkolnym kołem PTTK.

Pierwsze kroki były w Beskid Śląski, schodziłem dosłownie każdy szlak jaki na tym terenie był, apetyt rósł i przyszedł czas na Beskid Żywiecki, potem przeskok w Tatry, następnie pozostałe pasma górskie Karpat Polskich, Sudetów i Gór Świętokrzyskich. Najmniej jednak miałem schodzony Beskid Niski i Pogórza, jednak i na nie przyszedł czas.

W między czasie kończyłem różne kursy wspinaczkowe i rozpocząłem przygodę ze wspinaczką skałkową i górską. Potem były pasma zagranicą, ale tu można byłoby długo ciągnąć ten wątek. Zatem po górach wędruje już przeszło 22 lata i nadal mi ich mało, pomimo że jeśli chodzi o polskie góry to przeszedłem je prawie w 90%.

Do PTT wstąpiłem bardzo późno, czego w sumie trochę żałuję, ale wszystko można nadrobić. Przez lata szukałem towa-

rzystwa, w którym mimo upływu czasu, została zachowana w pełni idea propagowania i uprawiania turystyki, zwłaszcza wśród tych najmniejszych z poszanowaniem tradycji górskich naszych protoplastów turystyki górskiej.

Jak dowiedziałeś się o Polskim Towarzystwie Tatrzańskim?

Znam różne towarzystwa górskie, turystyczne, taternicze i alpinistyczne. Należę również od 1999 r. do PTTK i Klubu Wysokogórskiego w Gliwicach. Pełniłem różne funkcje zarówno w PTTK, jak w KW Gliwice. Przyznam jednak, że dość długo sądziłem, iż PTT nie reaktywowało się po niekorzystnych zmianach dla niego, jakie zaszły 1950 roku.

Gdy już wiedziałem, że się reaktywowało, dość długo nosiłem się z zapisaniem. Ale jak to mówią „co odwlecze to nie uciecze”. I tak w końcu stałem się członkiem PTT oddziału w Tarnowie z czego bardzo się cieszę.

Prowadzisz blog o tematyce górskiej oraz podróżniczej pt.: „ludziedrogi.pl”, a pod tą samą nazwą nasi Czytelnicy mogą znaleźć zdjęcia i relacje z Twoich wypraw na popularnych portalach społecznościowych. Jaka przyświeca Ci idea w prowadzeniu tych stron?

Tak zgadza się, blog ludziedrogi.pl to moje najmłodsze „dziecko” – w sumie sama nazwa – z uwagi, że moją pierwszą stroną internetową zacząłem prowadzić już 1996 roku, kiedy internet wchodził dopiero do Polski, w znaczeniu dostępu do niego dla przeciętnego „zjadacza chleba”. To jeszcze po części epoka tzw. wdzwanianego dostępu do Internetu, czy późniejszego już „rarytasu” stałego łącza symetrycznego SDI o „kosmicznej” prędkości 115kB/s. To co teraz napisałem dla większości młodzieży jest chyba w ogóle nie zrozumiałe i totalną abstrakcją, ale tak było.

Dostęp do Internetu nie był tak oczywisty i tani jak obecnie. Na stronie zgromadziłem wiele opisów tras, miejsc gdzie byłem, organizacji, stworzyłem bazę danych noclegowych w całych polskich górach, które systematycznie były uzupełniane. Niestety, kiedyś również hosting, czyli miejsce na serwerze nie było tak pewne jak obecnie. Darmowe hostingi z mnóstwem reklam pojawiających się na stronach, które była plagą tamtych czasów, były bardzo zawodne i kilka razy utraciłem zebrań dane na swojej stronie.

Odtwarzałem stronę kilka razy, aż dałem sobie z tym spokój, najzwyczajniej odechciało mi się, była to niczym walka Don Kichota z wiatrakami. Obecnie reaktywowałem stronę w formie bloga i pomału uzupełniam go w treści, od tych



Główny Szlak Beskidzki - na przełęczy Krowiarki (2019)

najnowszych przejść turystycznych. Tak jak napisałem na blogu będę się starał wrzucić też starsze opisy, które mam jeszcze gdzieś zapisane w notatniku, ale na wszystko trzeba czasu.

Ideą prowadzenia bloga, jest promowanie i propagowanie aktywnego sposobu spędzania czasu wolnego, ale też promowanie ciekawych miejsc, terenów, szlaków zarówno w Polsce, jak i zagranicą. Moich przemyśleń na temat ekwipunku, sprzętu jakiego używam lub używałem. Pokazania, że uprawianie turystyki kwalifikowanej nie jest trudne, jednak należy to robić z głową i wcześniej poczytać na ten temat, doszkolić się na różnych kursach (niekoniecznie internetowych), przećwiczyć pewne elementy, kolejność postępowania przy określonych zdarzeniach, sytuacjach. Tak, aby unikać sytuacji niebezpiecznych, groźnych dla życia i zdrowia. Uświadomić też, że sam zakup sprzętu turystycznego, który stał się obecnie tak bardzo łatwo dostępny, nie jest wszystkim co trzeba zrobić aby stać się „super turystą”. Jeszcze trzeba umieć z niego korzystać i to we właściwy sposób. Co trzeba przyznać, że tego wielu młodym adeptom turystyki, survivalu brakuje. Nie wystarczy spakować „super sprzęt” do plecaka i mieć go ze sobą w plecaku. Po zakupie należy zapoznać się z jego instrukcją obsługi i konserwacji oraz, jeśli tego wymaga, wielokrotnie przećwiczyć posługiwanie się nim w bezpiecznych warunkach, tak aby w sytuacji kryzysowej bez problemu i zbędnego stresu potrafił go obsługiwać i właściwie go zastosować w danej sytuacji.

Zapraszam wszystkich sympatyków górskich wycieczek do polubienia naszych profilów w mediach społecznościowych oraz subskrybowania mojego, rozwijającego się, kanału na YouTube, co zachęci mnie jeszcze bardziej do dalszego działania.

Zapraszam również na stronę internetową LudzieDrogi.pl i udział w dyskusjach, w komentowaniu wrzuconych tam artykułów i zadawania pytań. Na każde postaram się odpowiedzieć. Chętnie podzielę się wiedzą w temacie szeroko pojętej turystyki, survivalu, technicznych zagadnień sprzętowych.

Rozpocząłeś w styczniu samotne „Pierwsze zimowe przejście Szlaku Karpackiego”. Jak zrodził się pomysł na tę akcję, którą połączyłeś ze szczytnym celem, czyli ze zbiórką pieniędzy na rzecz Fundacji Podkarpackie Hospicjum dla Dzieci z siedzibą w Rzeszowie?

Zgadza się, przejście rozpocząłem 6 stycznia w Rzeszowie. Miałem rozpocząć je w późniejszym okresie, czyli w drugiej połowie lutego lub nawet na przełomie lutego i marca, jednak sytuacja pandemiczna w Polsce pokrzyżowała mi plany, choćby z terminem ferii zimowych. To też miało związek z moim czasem wolnym, w którym mógłbym przejść szlak.



Na Rysach, najwyższym szczycie Polski (2012)

Pogoda w drugiej połowie lutego lub na przełomie lutego i marca zazwyczaj jest bardziej stabilna i co najważniejsze długość dnia ma szczególne znaczenie, przy tak dzikim szlaku.

Szukając informacji na temat wcześniejszych przejść tego szlaku zimą, zarówno w różnych towarzystwach turystycznych, jak i w Internecie, czegokolwiek na ten temat, relacji, fotorelacji, zapisek z przejścia, na różnych forach itd. nie odnajduje, ani jednej wzmianki o tym.

W okresie letnim jest jedynie kilka przejść w tzn. formule „na jeden raz”, a pozostałych przejść też nie jest wiele, jakiegoś odcinka szlaku.

Tym samym rozpocząłem pierwszą, w historii tego szlaku, zimową i samotną wędrówkę bez wsparcia z zewnątrz. Była to pierwsza udokumentowana próba zdobycia tego szlaku zimą. Nikt wcześniej przede mną tego nie próbował.

Zimowy plan, można streścić prosto, przejście najdłuższą częścią polskich gór. Mniej więcej szlak prowadzi wzdłuż naszej wschodniej, a następnie wzdłuż południowej granicy wcinając się mocniej w Polskę od strony Grybowa i Rzeszowa.

Oprócz celu turystycznego, czyli pierwszego zimowego przejścia Szlaku Karpackiego, celem było też promowanie i popularyzacja Szlaku Grybów-Rzeszów, pięknego długodystansowego szlaku, który stał się jednym z zapomnianych i bardzo rzadko uczęszczanych.

Tak jak wcześniej wspominałem, cel popularyzatorski też chyba został osiągnięty. W komentarzach na blogowych socialmediach ludziedrogi.pl. pojawiły się zapytania „techniczne” związane z przejściem tego szlaku, a nawet stwierdzenia, że ktoś zamierza również przejść ten szlak porą zimową. Więc tutaj mogę przypisać sobie popularyzację tego szlaku zimą.

Na pewno w szerszym znaczeniu również zachęciłem innych do przejścia szlaku. Niekoniecznie zimą, ale na pewno wiem

już o kilku takich przypadkach, że dałem temu dość duży impuls.

Dzwonił do mnie też starszy Pan, który zobaczył mnie w telewizji. Zainteresował się tematem. Udało mu się znaleźć do mnie nawet numer telefonu. Jak widać, dla chcącego nic trudnego. Dodzwonił się do mnie i rozmawialiśmy przez ponad 2 godziny o szlaku i panujących obecnie trendach. Wypytywał o szczegóły i trudności na trasie, zwłaszcza w rejonach, w których nigdy nie był. Też zamierza w maju tego roku przejść szlak. Jest to naprawdę pozytywne w tej sprawie jak wiele aspektów udało mi się tą jedną wyprawą poruszyć.

Przechodząc do kwestii pomysłu akcji charytatywnej, muszę powiedzieć, że wielokrotnie zastanawiałem się nad założeniem fundacji, która by pomagała ludziom, jednak „papierologia”, którą trzeba spełnić, aby założyć fundację, a potem ją prowadzić dość skutecznie mnie zniechęcała.

Stwierdziłem, że w naszym kraju jest na tyle dużo różnych fundacji, które jeszcze do tego działają bardzo dobrze, spełniając swoje statutowe zadania, a przy tym są w pełni transparentne w przypadku pozyskanych środków, że warto wspomóc już istniejące organizacje pożytku publicznego. Niestety nie wszystkie fundacje działają w pełni transparentnie i na takie należy szczególnie uważać powierzając swoje środki.

Pozostało teraz znaleźć taką fundację i osiągnąć również drugi cel – charytatywny i zarazem informacyjny, który przyświecał tej wyprawie, chodziło o nagłośnienie sprawy hospicjów dziecięcych w Polsce.

Stało na Fundacji Podkarpackie Hospicjum dla dzieci z siedzibą w Rzeszowie. Dlaczego właśnie to hospicjum wybrałem? Pomimo, że pierwotnie myślałem o wspomożeniu śląskich hospicjów, potem o małopolskich, stało na podkarpackim hospicjum, a to z dwóch powodów: po pierwsze, szlak przebiega w większej części po Podkarpaciu i ochrzczony jest nieformal-



Pod Tarnicą w Bieszczadach podczas pierwszej zimowej próby przejścia Szlaku Karpackiego

nie jako „Szlak Karpacki”; po drugie, i tu zaznaczam, nie wchodząc w żadną politykę, uważam, że teren ten jest znacznie biedniejszy od pozostałej części kraju (zresztą z tego właśnie powodu, posypała się na mnie fala hejtu w Internecie, próbując wciągnąć mnie w zagrywki polityczne, co pozostawię bez dalszego komentarza).

Cel charytatywny został osiągnięty poprzez promowanie dwóch zbiorów: jednej utworzonej przeze mnie na jednym z portali społecznościowych, środki tam zebrane wyniosły 1700 zł, natomiast druga zbiórka polegała na wpłaceniu na konto fundacji środków z tytułem płatności „Zimowy Szlak Karpacki” i tutaj zgromadziły się środki w kwocie 1155 zł, co dało łączną kwotę w wysokości 2855 zł. Do tego sprawa rzeszowskiego hospicjum została nagłośniona przez moje działania w mediach społecznościowych, jak i przy udziale telewizji, która zainteresowała się moim zimowym przejściem. Bardzo cieszę się, że ten cel został w pełni zrealizowany.

W pewnym sensie i pewnej chwili już bardziej zależało mi na tym, aby zbiórka żyła i gromadziła coraz większe środki, niż sam fakt przejścia szlaku, było to dziwne uczucie. Jednak to najbardziej podtrzymywało moje morale na szlaku, w tych trudnych warunkach z jakimi przyszło mi się mierzyć.

Jak wyglądały przygotowania do wyjścia na szlak oraz, jak wiemy, srogiej zimy, która nas w tym roku nawiedziła?

Jeśli chodzi o przygotowania to starałem się przed wejściem na szlak rozruszać się lokalnie w miejscu zamieszkania. Były to proste czynności, które zawsze przekładają się na „plus”.

Mowa tu o pozostawieniu swojego samochodu w garażu i załatwianiu najprostszych codziennych czynności pieszo i to z plecakiem, tzn. większe zakupy do sklepu odbywałem pieszo, wszystko ładowałem do plecaka i wracałem zawsze dłużą trasą, w plecaku miałem zazwyczaj w granicach 10-15 kg artykułów spożywczych, a dystans pokonywałem w granicach 10-15 km.

Wyjście na pocztę lub w inne miejsca to też żaden problem, do plecaka ładowałem zgrzewki z wodą mineralną i wtedy dochodziłem nawet do wagi 20 kg. Dystans jaki pokonywałem wynosił zwyczajowo w granicach 10-20 km dziennie. Tak wyglądał miesiąc przed wyruszeniem na szlak.

Nie mogłem sobie pozwolić na bardziej zaawansowany trening, kiedy ma się na głowie obowiązki domowe, trójkę małych dzieci, ogólnie rodzinę i jeszcze pracę zawodową. Zawsze jak widać coś można zrobić, żeby być choć trochę lepiej przygotowanym. Jeśli chodzi o ekwipunek pierwotnie był zakładany do 10 kg.

Śledząc jednak długoterminową prognozę pogody wiedziałem, że pogoda bardzo się popsuje, a obliczając prawdopodobną pozycję na szlaku w czasie, przypadało to na trudny rejon Gór Sanocko-Turczańskich i Bieszczadów. Prognozy pogody, zwłaszcza te długoterminowe, należy zawsze brać z przymrużeniem oka, jednak tym razem sprawdziła się co do joty.

Wiedziałem, że muszę zmienić jeszcze ekwipunek, który będę ze sobą zabierał. Z uwagi, że jak wcześniej wspominałem, wyprawa miała charakter samotnego przejścia bez wsparcia z zewnątrz, musiałem być odpowiednio zabezpieczony już na starcie wyprawy. Mogłem przecież liczyć tylko na siebie i na to co było w moim plecaku. W pewnym momencie mój plecak z 10 kg wzrósł do 24 kg łącznie z zapasem jedzenia, przytroczonymi rakietami śnieżnymi i kijkami.

Śpiwór, którego używałem to puchówka z gęsim puchem, wypełnienie 1000 gramów, który był odpowiedni, by mnie zabezpieczyć nawet przy mrozie -20°C, będąc w bieliznie. Spełnił swoje zadanie perfekcyjnie i nie odczuwałem żadnego chłodu. Posiadałem też materac zimowy i pokrowiec na całość (śpiwór+materac), który zabezpieczał też śpiwór puchowy przed zawilgoceniem. W moim wyposażeniu był również lekki jednoosobowy namiot o wadze 1,3 kg. Wszystkie wymienione elementy ekwipunku nie są jakieś firmowe, jednak solidnie wykonane i nigdy mnie nie zawiodły nawet w najcięższych warunkach.

Dodatkowo zabrałem 2 kurtki puchowe, jedna coś w rodzaju swetra puchowego (wypełnienie około 100 g), druga z wypełnieniem puchowym około 300 gramów. Posiadałem też kurtkę techniczną z membraną Goretex. Całość bielizny wykonana z wełny merino (używam jej już od lat i jest to najlepsze rozwiązanie).

W ekwipunku znalazła się też kuchenka typu „jet-boil”, ponieważ ta, której używam nie jest oryginalną tej właśnie marki, do tego dwie butle z gazem, zwykła i bardzo wydajna na niskie temperatury do -27°C. Zapas jedzenia na około 5 dni, który gdzie mogłem to uzupełniałem.

Do tego wiele elementów tradycyjnych, które zawsze posiadam tj.: apteczkę skomponowaną pod moje potrzeby, krzesiwo, zapalniczki, kompas, zapasowe sznurowadła, linka 10 m – choćby do podwieszenia worka z jedzeniem, z dala od miejsca noclegu, czołówka z zapasowymi akumulatorami, dwa powerbanki, kamera sportowa z akumulatorami, kominiarkę ocieplaną, okulary z odpowiednią ochroną UV i inne drobne elementy.

Wymieńmy patronów medialnych, którzy wsparli tę akcję:

Patronat medialny nad wyprawą objęło jako pierwsze Radio RDN Nowy Sącz. Wyprawę relacjonowała również TVP 3 Katowice (materiały pojawiły się w Teleexpresie, Teleexpresie Extra, głównym wydaniu Aktualności), TVP 3 Rzeszów, Kurierze Rzeszowskim i Gwarku

Tomku, a jak wyglądał Twój dzień na szlaku?

Dzień na szlaku wyglądał następująco: trzeba było wstać przed świtem, tam gdzie była woda (wtedy odpadało pozyskanie wody ze śniegu), więc był jeden problem z głową, zagotować wodę, w międzyczasie przesuszyć namiot ze skraplającej się pary wodnej. Następnie zjeść coś i wyruszyć jak najszybciej na szlak.

Wszystko to było utrudnione z powodu niskiej temperatury, mimo wygodnej odzieży, jednak ruchy były lekko skrepowane. Jest to odmienna sytuacja niż, gdyby odbywało się to w lecie. Czas trwania dnia (światła słonecznego) był ograniczony do około 8 godzin dziennie. Dodatkowo przy niepogodzie, która rozpoczęła się już w okolicach Jureczkowej, było szaro i brzydko, do tego dość częste zadymki śnieżne lub mgła sprawiały, że dzień dodatkowo był sztucznie ograniczany. Przebijające słońce widziałem po raz ostatni wychodząc z Dynowa.

Przez całe Góry Sanocko-Turczańskie i Bieszczady miałem bardzo złą pogodę, która swoje apogeum osiągnęła w Bieszczadach w okolicach Bukowego Berda i Tarnicy.

Tam już to nie były przelewki, widoczność spadała poniżej 2 metrów, wiał wiatr z prędkością ponad 100 km/h i do tego

była już ogłoszona lawinowa „2”. Próżno było szukać oznaczenia szlaku, tabliczek z nazwami mijanych miejsc, wszystko było przykryte śniegiem lodem.

Przybliżmy naszym Czytelnikom sam szlak. Czy jest dobrze oznakowany? Czy podczas wędrówki występują utrudnienia, o których warto wspomnieć?

Szlak ten jest bardzo specyficzny i mocno odróżnia się od innych długodystansowych szlaków, choćby od popularnych Głównego Szlaku Beskidzkiego (GSB) czy Głównego Szlaku Sudeckiego (GSS).

Niebieski szlak Grybów-Rzeszów przebiega przez rejony, w których albo nie ma całkowicie infrastruktury turystycznej (baza noclegowa, gastronomia, sklepy), albo jest bardzo znikomą w postaci kilku schronów turystycznych i kilku większych miast po drodze.

Samo wyznakowanie szlaku pozostawia wiele do życzenia, choć przechodząc od strony Rzeszowa napotykałem na świeże wyznakowania, jednak nadal nie jest to zrobione we właściwy sposób, często pozostawione jest też stare oznakowanie. Często całkowicie inaczej przebiegające niż obecne, które może mocno wprowadzać w błąd. Tak jest np. na samym starcie szlaku, gdzie w zasadzie szlak posiada wyznakowanie od „starej kropki” (wcześniejszego miejsca początku/końca szlaku). Co prawda został jedynie ślad po starej kropce, ale wyznakowanie na 1,5 km trasy istnieje).

Jest też „nowa kropka” (do której nie dotarłem lub ją przeoczyłem) i przez ten zabieg szlak „stracił” na długości około 1,5 km) idąc starym wariantem szlaku, który wchodził w zupełnie innym miejscu w teren, niż faktycznie nowe wyznakowanie.

W terenie jest wiele takich miejsc, które na mapie papierowej, są inaczej przedstawione, na kilku mapach elektronicznych też są inaczej poprowadzone niż jest to w rzeczywistości w terenie, tak więc nawet wgrywanie śladu do GPS-u jest tak naprawdę trasą z „grubsza” a nie faktyczną. Na temat takich niuansów przebiegu szlaku w rzeczywistości w stosunku do różnych map można by napisać jeszcze wiele i nie chcę w tym momencie zanudzać, bo nadaje się to na osobny artykuł.

Na wstępie pojawiło się błoto. Nie było jednak źle i takiego błota mógłbym sobie życzyć na całej długości szlaku, jednak to byłby szczyt marzeń. W okolicach Grzegorzówki zaczęło się pierwsze większe błoto. Dochodząc do Jawornika błoto dość mocno dało mi popalić (błoto po kolana, spodnie brudne po uda...).

Coraz słabsze miejscami oznakowanie szlaku, a nawet rzekłbym, że znakarz, który ponownie znakował tą część szlaku, nie odnajdując szlaku, oznaczył go do równoległego biegnącego starego szlaku (który mnie udało się akurat odnaleźć w zupełnej już ciemności). Tego dnia jeszcze czekało mnie dojście w okolice Bachorza i tam nocleg pod namiotem.

Nazajutrz docierając do Dynowa i przekraczając rzekę San zaczął padać śnieg. Nie było jeszcze na tyle przymrozków, aby błoto związało i stwardniało. Tam zaczął się naprawdę mocny teren. Nie dość, że błoto było wszechogarniające, to jeszcze wyznakowanie szlaku w okolicy szczytu Urbańsk znikło na dobre. Do tego było coraz ciemniej, aż zapadł zmrok. Jak ktoś nigdy nie był w prawdziwej Karpackiej Puszczy, to proponuje tam właśnie jechać, a przekona się jak gęsto mogą rosnąć drzewa, krzewy, do tego chaszczce, pnącza i wszelakiego rodzaju inne rośliny, które spalały mnie, a nieraz wręcz uniemożliwiały przejście. Tego nie da się ani opisać, ani ukazać na fotografiach, to trzeba przeżyć. Zresztą nawet nie przyszło mi do głowy, aby wyciągnąć kamerę lub aparat i to filmować, walcząc z wszechogarniającą roślinnością, a w pewnym momencie z gigantycznych błotem. W duszy sobie tylko powiedziałem „a miało być tak pięknie, przecież to tylko pogórza”.

Człowiek może się naprawdę zdziwić, jak te niepozorne pagórki mogą dać w kość. Zamiast dojść do Piątkowej (Pracówki) w godzinę z minutami, to zajęło mi to 3 godziny. Z uwagi, że w pewnym miejscu musiałem już się przedzierać przez chaszczce, chodząc od lewej do prawej w poszukiwaniu jakiegokolwiek ścieżki, po pewnym momencie poddałem się. Zaczęłem szukać ścieżek dzikich zwierząt, licząc, że wyprowadzą mnie na jakąś polanę, która miała być na trasie. Znalazłem taką. Zaczęłem nią podążać, aż w końcu dotarłem na polanę.

Idąc dalej wzdłuż lasu, znowu „to samo” – co za ironia – na słupach energetycznych pojawiło się piękne, świeże wyznaczenie szlaku. Szkoda, że nie było go w lesie. W tym miejscu gdzie byłem to już było oczywiste gdzie iść (chyba komuś nie za bardzo chciało się kluczyć po lesie i wyznakować to tak jak powinno być, no cóż, tak też bywa).

W Piątkowej szlak przechodzi przez małą rzekę Jawornik. Od mieszkańców tej małej wioski dowiedziałem się, że ów „rzeczka” ubiegłego lata wzbierając, zabrała wszystko co było na jej drodze, czyli kilka garaży (blaszaków) i dwie szopy oraz skła-

dowane tam drewno o potężnej kubaturze. Coś co jest pozornie małe nie oznacza, że jest słabe i o tym należy zawsze pamiętać jeżdżąc w góry zarówno niskie, te średnie i wysokie.

Tutaj pamiętajcie, że nie musicie przechodzić tak jak prowadzi na mapie oraz oznaczenie szlaku przez rzekę. Kawałek dalej jest mostek, z którego korzystają okoliczni mieszkańcy. Ja ani nie wiedziałem, że takowy tam jest, ani go o tej porze nie widziałem. Warto jednak nie moczyć dodatkowo butów i przejść przez mostek, a nie rzekę. Tam miałem kolejny nocleg w namiocie. W nocy padał śnieg i temperatura zeszła poniżej -8°C.

Od Piątkowej wyznakowanie szlaku jest już dość dobre. Jednak, w kilku miejscach trzeba uważać aby nie zboczyć z trasy, szlak również na tym terenie przebiega nieco inaczej niż na mapie, więc mapą nie ma się za bardzo co sugerować. Szlak w zasadzie do samej Dybawki jest dość dobrze oznaczony.

Do Dybawki docieram dość późno. Cieszyłem się niezmiernie, że wyszedłem z Pogórza Dynowskiego. Miałem już dość wszechobecnego błota i kluczeniu po gęstym lesie bez wyraźnej ścieżki, często po zmroku.

Wychodząc z Dybawki szlak był przyzwoity, a las bardzo jasny i uporządkowany, oznakowanie też bardzo dobre. Przechodząc tego dnia przez wsie Koniusze, Gruszowa i Huwniki oznakowanie też jest w porządku. Tego dnia zostało mi ostatnie podejście na Kalwarię Paclawską. Tu jest ważna sprawa, macie okazję zrobić zakupy w Huwnikach, to zróbcie to. Ja tego nie zrobiłem bo myślałem, że to zrobię w Kalwarii Paclawskiej. Niestety – ostatni sklep został zamknięty na początku 2020 roku.

Na Kalwarii Paclawskiej miałem kolejną zimną i przy tym z silnym wiatrem noc. Myślałem, że tej nocy zasypie mnie całkiem śnieg. Jednak rano wychodząc przed namiot mocno się zdziwiłem, gdy okazało się, że śniegu jest tyle ile dzień wcześniej. Silny wiatr wywiał wszystko i było troszkę więcej niż dzień wcześniej.

Za szczytem Żytnego zbliżyłem się dość mocno do granicy z Ukrainą. Szlak na tym



Niedaleko Krasieczyna podczas pierwszej zimowej próby przejścia Szlaku Karpackiego



W drodze na Triglav w Alpach Julijskich (2011)

odcinku ma mało oznaczeń, jednak ścieżka jest bardzo intuicyjna i nie ma możliwości zgubienia się.

Za sobą pomału zostawiam Pogórze Przemyskie. Tak praktycznie jest do Jureczkowej. Potem jest trochę słabiej jednak nie jest źle. Za wiele zdjęć nie robię, staram się tam gdzie się da, „dość mocno cisnąć”. Tego dnia idę do oporu i dochodzę bardzo późno do Ustrzyk Dolnych.

Po drodze łąpie mnie dość mocna zawierucha, co odejmuje mi ostatki sił tego dnia. Jednak 42 km udało się zrobić i to chyba był błąd, w tych warunkach oraz z takim obciążeniem.

Kolejnego dnia w okolicy Równi łąpie pierwszą kontuzję kolana, przez upadek i skręcenie w zasadzie na prostym terenie. Jednak zmęczenie, ciężar plecaka, pogoda, która już mocno jest zimowa i dystans 170 km daje o sobie oznaki. Organizm się buntuje i wysyła pierwsze sygnały ostrzegawcze. Na chwilę kontuzja wyklucza mnie z podróży. Jednak nie poddaje się i wracam na szlak.

Warunki pogodowe zmieniają się coraz bardziej na niekorzystne. Od Równi, szlak jest nie przetarty. Śniegu przybyło bardzo dużo, ostatnie dni pada mocno śnieg oraz wieje bardzo silny wiatr, idąc nic praktycznie nie widać.

Docieram do Polany, a następnie pasmem Otrytu do Dwernika, gdzie mam kolejny nocleg pod namiotem. Zostawiłem na dobre za sobą Góry Sanocko-Turczańskie, jestem już w Bieszczadach.

Kolejnego dnia pogoda z rana nie zapowiada, że ten dzień nie będzie należał do najlepszych. Przede mną do pokonania Magura Stuposiańska (wycinka lasu w tym rejonie i rozjeżdżone podejście nie jest najlepszą rzeczą tego dnia, teoretycznie ten odcinek szlaku jest zamknięty). Napotkani pilarze odradzają mi przejścia tędy, mówiąc, że na szczyt to chyba od jesieni nikt nie wchodził i jest mocno zasypany. I tak faktycznie jest. Magura, wycieńcza mnie, ale to nie koniec walki na ten dzień.

Dochodzę do Widełek – Pszczelin, skąd wchodzę na szlak w kierunku Bukowego Berda. Dochodzę do skrzyżowania z żółtym

szlakiem i ewakuuje się do Mucznego. Na szczycie szaleje zamieć śnieżna, wiatr przeciera 80 km/h.

Kolejnego dnia wychodzę znowu żółtym szlakiem. Niestety, nie cieszę się długo, nazwijmy to „dobrą” pogodą. Idę w mgłę torując w głębokim śniegu przejście i wchodzę ponownie na niebieski szlak.

Ledwo udało mi się wejść zaczyna się ponownie „lodowe piekło”. Wiatr wieje coraz mocniej, widoczność spada do 10-20 metrów, żeby po chwili spaść do 5 metrów, totalnie nic nie widać.

Gdy docieram do Przełęczy pod Tarnicą wiatr już wieje w przybliżeniu 90-100 km. Widoczność jest w granicach do 2 metrów w najlepszych momentach. Chwilę w tych warunkach odpoczywam, jeśli tak to można nazwać i schodzę w dół. Tu szlak jest już przetarty, mogę dość szybko schodzić.

Po zejściu na wysokość około poniżej 1200 m n.p.m. jest takie zdrzewione miejsce, tam chwilę odpoczywam. Zostawiam plecak i podchodzę jeszcze na chwilę w górę. Próbuję zrobić choć jedno zdjęcie lub cokolwiek nakręcić, jednak, po chwili pada mi telefon, a kamera zaczyna zachowywać się dziwnie i też się zawiesza. Coś tam się udaje nakręcić, jednak i tak nie oddaje to sytuacji na samym grzbiecie i szczycie.

Wracam do miejsca, gdzie zostawiłem plecak. Podpinam powerbank, aby podładować telefon w razie „W”, który miałem naładowany w 66%, po czym po kilku sekundach miałem 0% (sic!), próbując zrobić zdjęcie lub filmik.

Zaczynam schodzić w dół. Spotykam turystów idących zarówno w górę, jak i tych, którzy próbowali tego dnia wejść na Tarnicę, lecz nie udało im się i zawrócili. Warunki tego dnia, jak się okazało z komunikatu GOPR, na szczycie Bukowego Berda były bardzo złe: temperatura poniżej -20°C, wiatr 100-120 km/h, widoczność do 2 metrów, zamieć śnieżna i lawinowa „dwójka”. Coś o tym wiem, przecież tego dnia tam byłem i jak widać za bardzo nie pomyliłem się w ocenie sytuacji.

Tego dnia dochodzę do Ustrzyk Górnych. Wiatr i śnieg tej nocy nie ustaje. Kolejnego dnia wyruszam w kierunku pasma gra-

nicznego, Wielkiej Rawki, Krzemieńca (Kremenaros – trójstyk granic Polski, Słowacji i Ukrainy). Jednak zmęczenie z dnia poprzedniego, bardzo ciężkie warunki, duży bagaż oraz ogromne ilości świeżego śniegu dają mi popalić. W okolicy schronu turystycznego, na stokach Wielkiej Rawki, doznaję kolejnej kontuzji kolana, a na dodatek zaczynam czuć ból ścięgna Achillesa. To spowodowało przerwanie przeze mnie wyprawy na 250 km szlaku.

Do końca szlaku pozostało jakieś 190-195 km, w tym około 110-120 km w totalnej dzicy. Na tym terenie nie ma możliwości uzupełnienia zapasów i ewentualnego miejsca ewakuacji. Tym razem już nie podejmuję ryzyka dalszej wędrówki. Prognoza pogody na najbliższe dni też nie była optymistyczna. I jak to mówią: „jest zima to musi być zimno”, ale to nie o to w tej chwili chodziło.

Nie lubię angażować innych. Wolę liczyć na własne siły, a przy kontuzji kolana i powiększającym się bólu ścięgna Achillesa nie było to realne. Wchodzenie w taki teren, jakim jest szlak graniczny, będąc w pełni świadomy mojej kontuzji, że będę mógł narażać innych, angażując nie daj Bóg, służby ratownicze. Byłoby to bardzo nieodpowiedzialne i egocentryczne.

Tym samym, na 250. kilometrze Szlaku Karpackiego (długodystansowy niebieski szlak Grybów-Rzeszów), na stokach Wielkiej Rawki, zakończyłem swoją zimową wyprawę.

Kolejnej próby nie mogłem już podjąć z uwagi na kontuzję i w zasadzie brak czasu. Szlak dokończę pewnie dopiero latem tego roku i zacznę od Ustrzyk Górnych.

Co do przejścia go w całości, w formie „za jednym razem”, może kiedyś do tego tematu wrócę, czas pokaże. Jednego jestem pewien – zimowe przejście 250 km Szlaku Karpackiego jest jednym z najtrudniejszych moich dotychczasowych długodystansowych przejść, do tego styczeń tego roku okazał się niesłychanie niestabilny pod względem pogody. Szlak nieźle mnie umęczył, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Jeszcze żaden szlak mnie tak nie umęczył jak ten. Wracając do domu, w pewnym sensie pokonany i zmęczony, na myśl przyszła mi powieść Ernesta Hemingwaya, w której to stary Santiago walczył z wielką rybą, z jednej strony wygrywając z nią, a z drugiej przegrywając z rekinami. Te słowa właśnie najlepiej opisywały mój powrót do domu: „I łóżko – pomyślał. – Łóżko jest moim przyjacielem. Nie ma jak łóżko. W łóżku będzie wspaniale. Jakoś łżej człowiekowi, kiedy jest pokonany. Nie miałem pojęcia, że tak lekko. I coś cię pokonało?” – pomyślał. – Nic – odpowiedział głośno. – Wypłynąłem za daleko.”... (Ernest Hemingway „Stary człowiek i morze”)

Czy spotkały Cię jakieś ciekawe przygody? Może napotkani na szlaku wędrowcy dopytywali o cel, który sobie obrałeś?

Tym razem nie miałem okazji z jakimiś ciekawymi przygodami, choć przy takiej długiej drodze zawsze coś mogło się przytrafić. Co do wędrowców, których spotkałem to pierwszy raz zobaczyłem człowieka na szlaku idąc od Rzeszowa dopiero w okolicy Przemysła, szła mała grupka, która była bardzo zainteresowana moim celem. Później to raczej w dolinach lub wsiach mieszkańcy często się dopytywali, co mnie przyniosło w te strony. Często sformułowaniem padającym z ust mieszkańców było „Panie, tędy to nikt nie chodzi” albo w okolicach Piątkowej: „Ja tu mieszkam od 60 lat i za dziecka chodziło się do lasu, ale wtedy były ścieżki leśne lepiej zachowane, niż teraz, większość tych terenów to były pola, a teraz to bałbym się w dzień wejść do tego lasu, a co dopiero w nocy chodzić jak Pan, przecież tu są wilki, i krzyżówki wilka z psem, co jest jeszcze gorsze i niebezpieczne...”.

Muszę to potwierdzić, że faktycznie w okolicznych lasach koło Bachórze na Dziale grasuje kilka sztuk tzw. hybryd wilka, są bardzo agresywne i zgłaszane było to w tamtejszych urzędach. Ja o tym, przechodząc przez te tereny, nie wiedziałem, a pokonywałem je w całkowitej ciemności przy świetle czołówki. W większych miejscowościach (nie było ich zbyt wiele – kilka), napotkani ludzie interesowali się moim przejściem, bardzo byli zainteresowani tym celem charytatywnym i jak to się dzieje, że trafiają pieniądze, za to na ten cel. Przyjezdni słysząc, jak rozmawiam np. w sklepie z ekspedientką, wchodzili w rozmowę i dopytywali o szczegóły, potem biorąc również czynny udział w akcji chary-

tatywnej, wpłacając środki na konto. Było to bardzo miłe.

Które z przejść górskich masz już za sobą, a jakie planujesz w przyszłości?

Tak jak wspominałem na początku rozmowy, góry Polski w zasadzie mam schozone w całości, jednak od jakiegoś czasu wzięło mnie na szlaki długodystansowe. Pomimo, że to nie pierwszy, czy drugi raz pokonywałem takie długie dystanse.

Wielokrotnie wcześniej pokonywałem dystans za jednym razem, w ciągu jednego dnia 40 km, 60 km, a nawet 74 km (moja najdłuższa trasa w ciągu jednego dnia, co prawda nie w górach) idąc w ten sposób kilka dni.

Za sobą mam Główny Szlak Beskidzki, który pokonałem pod koniec lata w 2019 roku, w formule „za jednym razem” bez wsparcia i też samotnie w ciągu 13 dni. Teraz planuję dokończyć Szlak Karpacki, nie lubię zostawiać nie dokończonych spraw.

I może jeszcze w tym roku uda się przejść „na rozgrzewkę” Główny Szlak Świętokrzyski przed Głównym Szlakiem Sudeckim. Rozważam również przejście żółtego szlaku Trzech Pogórzy, czy Tarnów – Wielki Rogacz. W dalszej perspektywie mam w głowie przejście z Polski do Hiszpanii Szlaku Świętego Jakuba, do Santiago de Compostela, ale bardzo odmienną, własną trasą, łączącą inne szlaki Świętego Jakuba w różnych państwach.

Kilka słów o sobie.

Nazywam się Tomasz Marek Badur, dla znajomych po prostu Tomek. Obecnie, od 2006 roku mieszkam w Piekarach Śląskich, jednak urodziłem się w Małopolsce, w Sławkowie (obecnie administracyjnie to wojództwo śląskie). Długi okres życia zamieszkiwałem w Strzemieszycach Wielkich.

Zawodowo zajmuję się turystyką i rekreacją. Jestem specjalistą w zakresie turystyki aktywnej i alternatywnej. Organizuję obozy rowerowo-wspinaczkowe dla dzieci i młodzieży, survivalowe i inne. Prowadzę też zajęcia ze wspinaczki skałkowej dla rodzin i przyjaciół.

Jestem absolwentem Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach, którą ukończyłem z wyróżnieniem. Ukończyłem również studium instruktorskie na AWF Katowice.

Posiadam ponadto uprawnienia: licencjonowanego organizatora turystyki, pilota wycieczek, rezydenta biur turystycznych, instruktora wspinaczki sportowej, instruktora rekreacji ruchowej, instruktora kinezygerontoprofilaktyki, instruktora Nordic Walking, instruktora samoobrony, instruktora turystyki kwalifikowanej (specjalność rowerowa), kierownika wypoczynku, kierownika wycieczek szkolnych i wychowawcy wypoczynku.

Od 1999 roku jestem członkiem PTTK. Należę do Klubu Wysokogórskiego Gliwice. Należę również do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Oddział w Tarnowie.

Od 2002 r. jestem Honorowym Dawcą Krwi. W 2020 r. zostałem Zasłużonym Honorowym Dawcą Krwi III stopnia.

Generał Mariusz Zaruski (80. rocznica śmierci)

*„Prowadziłem Polaków w góry i na morze,
ażebym stali się twardzi jak granit,
a dusze mieli czyste i głębokie...”*

Mariusz Zaruski

Urodził się w dniu 31 stycznia 1867 r. w Dumanowie k/Kamieńca Podolskiego. Był synem Seweryna i Eufrozyny Iwanickiej. Początkowo uczył się w Mohylowie Podolskim, a gimnazjum rosyjskie kończył w Kamieńcu Podolskim. W 1885 r. wyjechał do Odessy, gdzie na uniwersytecie odbywał studia matematyczno-fizyczne.

Odessa zrobiła na nim ogromne wrażenie. Ten pierwszy kontakt z morzem miał w przyszłości ogromny wpływ na jego życie. Był uzdolniony artystycznie, zaczął malować obrazy. Z czasem wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych.

Bardzo ciągnęło go jednak na morze. Kiedy miał przerwę w nauce uczestniczył jako wolonariusz w rejsach m.in. do: Syrii, Indii, Egiptu, Japonii, Chin, Syberii oraz na Daleki Wschód.

W 1894 r. za działalność patriotyczną został zesłany do Archangielska. Tam miał możliwość ukończenia Szkoły Morskiej. Zdobył tytuł Szturmana Żeglugi Wielkiej. Cieszył się dużym szacunkiem i poważaniem. Mimo, że był zesłańcem otrzymał pozwolenie na prowadzenie żaglowców. Dał słowo honoru, że powróci.

Na żaglowcu „Derżawa” popłynął z ładunkiem drewna i futer przez Ocean Arktyczny do Norwegii. Potem wielokrotnie pływał po morzach arktycznych jako kapitan statku „Nadzieжда”. Zaangażował się także w działalność Ligi Polskiej.

Po zakończeniu zsyłki powrócił do Odessy. W tym mieście ożenił się z Izabelą Kietlińską. W 1901 r. przyjechał z żoną do Krakowa, gdzie mieszkała do 1906 r.

Od 1903 r. był członkiem Towarzystwa Tatrzńskiego. W Krakowie ukończył malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych. Z uwagi na zły stan zdrowia żony, zdecydował się w 1907 r. przeprowadzić do Zakopanego. Izabela prowadziła willę „Krywań” przy ul. Ogrodowej.

W Zakopanem Zaruski znalazł pole do działania na wielu płaszczyznach. Zajmował się turystyką i taternictwem. Był jednym z inicjatorów powstania Zakopiańskiego Oddziału Narciarzy. Sprawy organizacyjne trwały od lutego do kwietnia 1907 r. W dniu 5 grudnia 1907 r. wybrano Zarząd Oddziału. Zakopiański Oddział Narciarzy wszedł jako Oddział w skład TT.

W dniu 25 grudnia 1907 r. rozpoczął się kurs narciarski. Początkowo kierował nim por. Henryk Bobkowski. Kiedy z przyczyn zdrowotnych musiał zrezygnować kierowanie kursem przejął Mariusz Zaruski. Ogółem z nauki jazdy skorzystało 67 osób, w tym pięciu przewodników. Jako pierwszy z przewodników świadectwo ukończenia kursu i potwierdzenie jazdy na nartach otrzymał przewodnik Stanisław Gąsiennica-Byrcyn. Kursy z reguły trwały 4 dni. Zaruskiemu w kursach pomagali: Gustaw Kaleński, Leon Loria i Stanisław Zdyb. Rozpoczynano na Lipkach, z czasem

kursanci ćwiczyli na południowych stokach Gubałówki, ze szczytu której czwartego dnia kursu odbywał się zjazd. Często w programie była wycieczka na Halę Gąsienicową. Kursom towarzyszyły odczyty, wieczornice góralskie oraz „komersy” narciarskie w kawiarni Przanowskiego^[1].

Od początku 1908 r. odbywały się także wycieczki górskie na nartach. Zakopiańskim Oddziałem Narciarzy TT kierował Stanisław Barabasz, a Mariusz Zaruski był Sekretarzem i Skarbnikiem Oddziału. Jednym z bardziej aktywnych członków Oddziału był Mieczysław Karłowicz^[2].

Zaruski był jednym z prekursorów taternictwa zimowego. W 1911 r. wraz z Januszem Żuławskim dokonał pierwszego wejścia zimowego na Rohacz Ostry i Płaczliwy.

Był współzałożycielem TOPR w 1909 r. Organizacja ta nazywała się wówczas Strażą Ratunkową. Napisał rotę ślubowania, regulamin służby i był pierwszym Naczelnikiem.

Popularyzował narciarstwo i był organizatorem kursów narciarskich. Głośno było w Zakopanem po jego zjeździe z Koziego Wierchu w 1907 r., a w 1911 r. z Kościelca.

Do jego wielkich zasług należy wytyczanie szlaków oraz szkolenie przewodników.

W latach 1912-1914 należał do Związku Strzeleckiego. Następnie wstąpił do Legionów. Od 1914 r. służył w 1 Pułku Ułanów, a od lipca 1917 r. dowodził tym oddziałem. W latach 1919-1921 dowodził 11 Pułkiem Ułanów. Brał udział w wojnie 1920 r.

Kilkakrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klas. W 1922 objął dowództwo 23 pułku Ułanów Grodzieńskich. W dniu 1 marca 1923 r. został zatwierdzony na stanowisko adiutanta generalnego Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. W dniu 1 grudnia 1924 r. został awansowany na generała brygady. Z dniem 30 kwietnia 1926 r. przeszedł w stan spoczynku.

W czasie pobytu na emeryturze poświęcił się sprawie rozwoju sportu żeglarskiego oraz jachtingu. Przekonywał Polaków do zrozumienia znaczenia morza w znaczeniu gospodarczym. Wraz z Antonim Aleksandrowiczem był inicjatorem powstania Yacht Klubu Polski i jego pierwszym Komandorem. Był zaangażowany w pozyskanie pełnomorskiego jachtu o nazwie „Witez”.

Zainicjował powstanie Ligi Morskiej i Rzecznej, z czasem przemianowanej na Ligę Morską i Kolonialną. Inicjator powołania Komitetu Floty Narodowej, która zbierała środki na zakup żaglowca „Dar Pomorza”. W 1929 r. rozpoczął współpracę z harcerstwem.

W 1935 r. został kapitanem na szkunerze „Harcerz”, który z czasem zmienił nazwę na „Zawisza Czarny”. Ostatni rejs na „Zawiszy Czarnym” odbył w 1939 r.

Pełnił funkcję Prezesa Polskiego Związku Żeglarskiego. W 1933 r. otrzymał godność Członka Honorowego PTT.

Od września 1939 r. generał Zaruski ukrywał się we Lwowie pod przybranym nazwiskiem. Został jednak zadenuncjowany przez jednego z polskich oficerów i aresztowany przez lwowską



NKWD. Skazany na 5 lat zesłania do Kraju Krasnojarskiego. Ze względu na podeszły wiek i chorobę serca został przewieziony do szpitala więziennego w Chersoniu, gdzie zmarł w dniu 8 kwietnia 1941 r.

Został zrehabilitowany przez radzieckie władze w dniu 21 czerwca 1989 r. Na cmentarzu w Chersoniu udało się odnaleźć kwaterę, gdzie został pochowany.

Z okazji 30 rocznicy śmierci generała z inicjatywy Komisji Turystyki Górskiej Oddziału Stołecznego PTTK w Warszawie, przy wsparciu ludzi gór w Zakopanem powstała symboliczna mogiła. W dniu 12 czerwca 1971 r. odbyło się uroczyste odsłonięcie głazu^[3]. W 1997 r. został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

11 listopada 1997 r. z inicjatywy Witolda Bublewskiego oraz Małopolskiej Chorągwi Żeglarskiej ZHP sprowadzono do Polski i złożono na Starym Cmentarzu w Zakopanem urnę z ziemią z cmentarza w Chersoniu. Pogrzebowi towarzyszyły dźwięki dzwonu „Mariusz Zaruski”, ufundowanego przez Morski Krąg Instruktorski ZHP dla polskiej parafii w Chersoniu. (Dzwon ten został tego dnia poświęcony, podczas mszy świętej w kościele pw. Najświętszej Rodziny w Zakopanem).

Podczas pogrzebu odbyła się salwa honorowa Kompanii Honorowej Wojska Polskiego. Homilie wygłosił bp. Albin Małysiak. Głos zabierali: 94-letni hm. Witold Bublewski, ks. Zdzisław Peszkowski – kapelan Rodzin Katyńskich, Burmistrz Zakopanego Adam Bachleda-Curuś, Prezes TOPR Józef Jańczy oraz Prezes PTT Krzysztof Kabat. W uroczystościach uczestniczyły delegacje Oddziałów PTT z: Nowego Sącza, Krakowa, Sosnowca i Nowego Targu.

W kwietniu 2001 r. w 60 rocznicę śmierci Zaruskiego odbył się symboliczny pogrzeb morski. Ziemia z prochami generała została wysypana do morza, u wejścia do portu w Gdyni.

Do najważniejszych publikacji należą: wiersze i opowiadania tatarnicze zebrane w tomie „Na bezdrożach tatrzańskich” (1923), opowiadania żeglarskie „Wśród wichrów i fal” (1935), podręczniki żeglarskie, w tym pierwszy w Polsce podręcznik żeglugi morskiej, przewodniki i podręczniki narciarskie: „O zachowaniu na wycieczkach zimowych w Tatrach” – nakładem Sekcji Narciarskiej TT, „Zarys rozwoju narciarstwa i zimowej turystyki polskiej w Tatrach – nakładem TT, „Przewodnik po terenach narciarskich Zakopane go i Tatr Polskich” – nakładem Sekcji Narciarskiej TT, „Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe”.

W dniu 23 czerwca 2001 r. na kościele pw. Krzyża Świętego w Zakopanem odsłonięto tablicę poświęconą Mariuszowi Zaruskiemu. Odsłonięcia tablicy dokonali: Prezes TOPR Józef Jańczy, Naczelnik GOPR Jacek Dębicki, i Teresa Hernik z Głównej Kwatery ZHP. Tablicę poświęcił kapelan ZHP ks. Jan Ujma. W czasie uroczystości głos zabrał Wiceprezes ZG PTT Antoni Leon Dawidowicz. Delegacje Oddziałów PTT z Krakowa i Sosnowca złożyły wiązanki kwiatów pod tablicą. Następnie uroczystości przeniosły się do sal Muzeum Przyrodniczego TPN, gdzie nastąpiło odsłonięcie okolicznościowej wystawy.

W dniu 19 grudnia 2007 r. w galerii Sztuki im. Włodzimierza i Jerzego Kulczyckich została otwarta wystawa pt.: „Mariusz Zaruski – człowiek dwóch żywiołów”, zorganizowana przez Muzeum Tatrzańskie im. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem, Muzeum Ziemi Puckiej im. Floriana Ceynowy w Pucku i Urząd Marszałkowski woj. małopolskiego. Komisarzami wystawy byli: Grażyna Orłowska i Wojciech Szatkowski^[4].

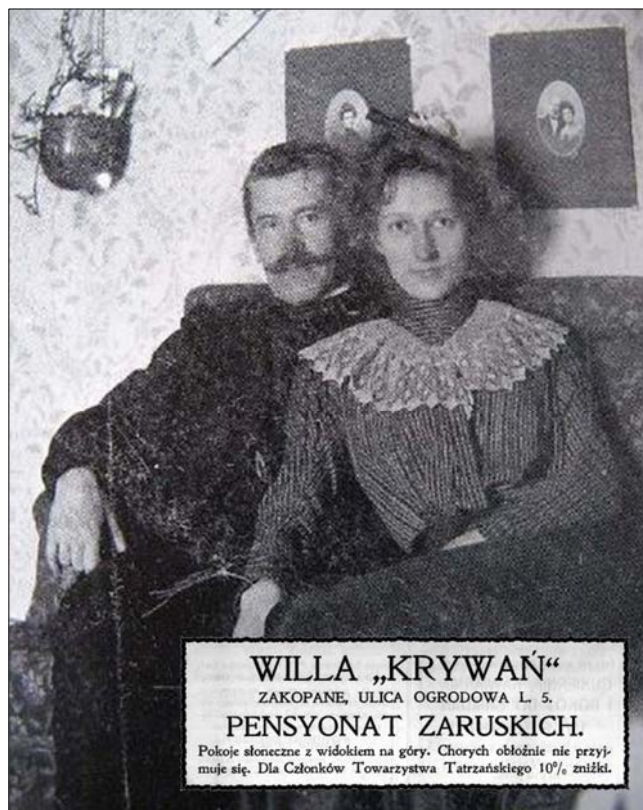
Gen. Mariusz Zaruski uważał, że tatarnictwo, narciarstwo i turystyka buduje lepsze społeczeństwo. Był postacią wieloformatową, która powinna być wzorem dla młodych ludzi. Oddział PTT w Sosnowcu już od wielu lat nosi imię Gen. Mariusza Zaruskiego. W różny sposób staramy się upamiętniać tę postać i popularyzować ją wśród członków PTT. ■

[1] Ziemia, Nr 3, 1912

[2] Pamiętnik TT. Rocznik 29, 1908

[3] Wierchy, Rocznik 40, 1971

[4] Wierchy, Rocznik 73, 2007



Izabela Zaruska prowadziła w Zakopanem willę „Krywań”



Tekst przyrzeczenia Zaruskiego jako członka TOPR



Prezydent RP Stanisław Wojciechowski i generał Mariusz Zaruski

Fot. „Ziemia”

Fot. ze zbiorów TOPR

Fot. „Światowid”

Erhard Loretan – 10. rocznica śmierci

Szwajcarski himalaista Erhard Loretan urodził się w dniu 28 kwietnia 1959 r. Rozpoczął wspinanie już w wieku 11 lat, a cztery lata później miał na koncie wejście wschodnią granią na Doldenhorn (3645 m n.p.m.).

W wieku 22 lat został przewodnikiem górskim. Jego górskie kwalifikacje zostały dostrzeżone i w 1982 r. wziął udział w wyprawie na Nanga Parbat, która zakończyła się wejściem na szczyt. Podobnie jak Wojciech Kurtyka preferował styl alpejski: minimum sprzętu, małe składy osobowe, szybkie wejścia bez wspomagania tlenem. W 1983 r. zdobył Gaszerbrum II, Gaszerbrum I i Broad Peak, a w 1984 r. w Himalajach wszedł na Manaslu i Annapurnę. Natomiast rok 1985 zaowocował zdobyciem Dhaulagiri i K-2. W 1986 r. dokonał wielkich wyczynów. Oprócz wejścia na Mt Everest, w ciągu 19 dni wszedł na 38 szczytów. Miał na koncie ponadto zdobycie 13 północnych ścian Alp Berneńskich w ciągu 13 dni. Po kilku latach powrócił w Himalaje i w 1990 r. zdobył Cho Oyu i Sziszapangmę. W kolejnym roku wszedł na Makalu.

W dniach 29 stycznia do 2 lutego 1992 r. przebywał w Katowicach podczas III Międzynarodowego Festiwalu Filmów Górskich. Festiwal był organizowany przez Artura Hajzera i Janusza Majera. W programie znalazła się wystawa Andrzeja Batury pt. „Świat Gór” oraz spotkania i prelekcje wielu wybitnych postaci gór. Na festiwal dotarli m.in.: Krzysztof Wielicki, Janusz Majer, Artur Hajzer, Mario Corradini, Aleksander Lwow, Jerzy Surdel, Wojciech Kurtyka, Jim Curran i Christoph Profit. Miałem okazję porozmawiać z Erhardem i otrzymać pamiątkowy autograf.

W kolejnych latach zdobył w 1994 r. Lhotse i zakończył Koronę Himalajów i Karakorum w 1995 r. wchodząc na Kangczendzongę. Zajęło mu to 13 lat, a przed nim dokonali tego jedynie Reinhold Messner i Jerzy Kukuczka.

W 2002 r. przeżył tragedię śmierci swojego 7-miesięcznego syna. Zbyt mocno potrząsał dzieckiem i dziecko zmarło. Po śmierci syna przez 9 lat się nie wspiął. Dopiero w dniu 28 kwietnia 2011 r. w dniu swoich 52 urodzin wspiął się ze swoją partnerką Xenią Minder na Grün-



fol. Internet

horn (4043 m n.p.m.). W trakcie wspinaczki partnerka Loretana potknęła się i wyrwała go ze stanowiska. Wskutek upadku z wysokości 200 m odniósł takie obrażenia, że zmarł w szpitalu. Xenia Minder przeżyła upadek. Podkreślała, że Gerhard nigdy nie wybaczył sobie śmierci syna. ■

autograf Erharda Loretana
(ze zbiorów Z.Jaskierni)

APELUJEMY O PRZEKAZANIE 1% PODATKU DLA POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO



Polskie Towarzystwo Tatrzańskie jest zarejestrowaną, posiadającą osobowość prawną, organizacją pożytku publicznego. W imieniu wszystkich naszych członków, w imieniu naszych ukochanych gór, prosimy o przekazanie 1% swych podatków na rzecz PTT.

Dlaczego nam?

- jesteśmy stowarzyszeniem miłośników gór;
- propagujemy niskobudżetową turystykę górską;
- działamy na rzecz ochrony przyrody gór;
- szkolimy przewodników górskich i prowadzimy edukację młodych turystów;
- utrzymujemy się ze składek członkowskich i opieramy się na społecznej pracy naszych członków i sympatyków (nie mamy żadnych etatów ani pensji).

Jak to zrobić?

Przekazanie 1% podatku jest bardzo proste. Aby tego dokonać należy w odpowiednim miejscu formularza PTT wpisać numer KRS naszego Towarzystwa: **0000115547**.

Jako **cel szczegółowy** można **wskazać, dla którego z oddziałów** chcielibyśmy przekazać swój 1%.

Kilka oddziałów posiada osobowość prawną i status organizacji pożytku publicznego. Przekazując swój 1% dla jednego z nich, wystarczy wpisać odpowiedni numer KRS:

- **0000085388** – Oddział PTT w Bielsku-Białej;
- **0000332365** – Oddział PTT w Chrzanowie;
- **0000068103** – Oddział PTT w Jaworznie;
- **0000343564** – Oddział PTT w Nowym Sączu.

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, KINGA BURAS, BARBARA MORAWSKA-NOWAK, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: SZYMON BARON, KATARZYNA WILUSZ

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ♦ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ♦ TEL.: 12 634-05-89

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://www.ptt.org.pl)